

Pamiętnik zawierający szczegóły długiego życia

Część III

Okres I wojny światowej, ewakuacja do Rosji.

Powrót i dalsze życie do wybuchu II wojny światowej.

[145]

Rozdział VI

Cud nad Wisłą. Ucieczka bolszewików i dalsza praca w Sokołach

Na szczęście panowanie ich i rabowanie trwało niedługo, bo na trzeci tydzień po ich przybyciu już w środę po południu 18 sierpnia zauważono jakiś niezwykle ruch na szosie i powracające wozy i później wieczorem i w nocy całe tabory i na rynku pojawiło się dużo furmanek. Śledzono z wielkim zainteresowaniem, co to miało znaczyć, ponieważ ci przybysze pochwalali się o zajęciu Warszawy i sam słyszałem poprzedniego dnia rozmowę żołnierzy o sytuacji na froncie i dosłyszałem, że „dobrze, nasi są w 7 min wiorstach (kilom.) od Warszawy i lada dzień będą w Warszawie”. Okazało się przeciwnie, że był to formalny odwrót i ucieczka ich na wschód, że Polacy pod Warszawą odnieśli zwycięstwo, armia bolszewicka, bardzo liczna, została rozbita i uciekła w popłochu na całym szerokim froncie.

Następnego dnia w czwartek ruch odwrotu wzrósł się z godziny na godzinę, a w piątek i sobotę w dnie i nocie zamienił się w gwałtowną, bezładną i nigdy niewidzianą ucieczkę, uciekające różnego rodzaju pojazdy nie mieściły się na szosie, dwoma i trzema rzędami z krzykiem i wrzaskiem oraz trzaskiem łamanych wozów zwałanych do rowu, ciągły ryczący krzyk: „skorej, skoreje, poskorej”, przy tym różne plugawe wymysły i przekleństwa. W rowach przyszosowych pełno było połamanych i uszkodzonych wozów i nierzadko leżących padłych z przemęczenia i dogorywających koni, niezdolnych do dalszej ucieczki.

Pamiętam, jak w piątek 20 sierpnia przed południem pewien uciekający oddział czy pluton piechoty zatrzymał się w naszym mieszkaniu na krótki odpoczynek „oddych”. Starszy ich komendant zapytał mnie, czy w tej posesji znajduje się stodoła „saraj”. Powiedziałem, że jest w podwórzu, do której polecił im wszystkim wejść i swobodnie odpoczywać. Przechodząc przez podwórze, zauważyłem, że tam wygodnie rozlokowali się w stodole na klepisku i słomie, niektórzy posilali się, inni leżeli, inni siedzieli zdjąwszy koszulę i iskali się, pozdejmowali też i buty. Po chwili tenże komendant zapytał mnie obserwującego uciekających od szosy w stronę

rynku i na drugą stronę szosą Sokoły–Tykocin, jak daleko i w której stronie znajduje się powiatowe miasto, odległe od Sokół o 30–35 wiorst, w którym podobno już są Polacy – polskie wojsko – pomyślałem i przypomniałem, że to pewnie Bielsk Podlaski. Powiedziałem, że to Bielsk, pokazując stronę wschodnio-południową, odpowiedział: „da, da, tak, tak, to Bielsk”, że tam są Polacy niedaleko i zachodzą nam drogę do ucieczki. Strapiony pobiegł natychmiast do stodoły i krzyknął, czyli dał rozkaz do ucieczki, wówczas wszyscy momentalnie wybiegli ze stodoły, jakby ich bomba wyrzuciła, niektórzy na półnady z koszulami i butami w rękę pobiegli na ulicę w stronę rynku i szosy tykocińskiej.

Następnego dnia w sobotę był taki sam widok uciekających, którzy pędzili ze sobą znaczną gromadą kilkadziesiąt osób: cywilów i niewolników z Wys. Mazowieckiego, między innymi był w tej grupie i nasz dobry znajomy, były Sekretarz Sądu w Sokołach, wówczas powiatowy Komornik w Mazowiecku – Piekarowicz, aresztowani i pędzeni jako niby udziałowcy napadu i za wczesnej strzelaniny do uciekających bolszewików, ponieważ jacyś nierozważni osobnicy, mniemając, że ucieka ostatni, nieliczny oddział i że lada chwila pojawią się Polacy, dali do niego strzały, lecz pomylili się i tym spowodowali, że nastąpiła obława i wszyscy, którzy nie zdążyli skryć się, zostali zatrzymani i byli pędzeni. Zapadła decyzja: spalić miasto, zaczęło się już podpalanie, lecz na szczęście pojawił się konny oddział wojska polskiego, który zdążył temu przeszkodzić. Bolszewicy w popłochu uciekli lub wzięci zostali do niewoli.

Pędzeni niewolnicy po krótkim zatrzymaniu koło stacji Sokoły w Kruszewie, następnego dnia w niedzielę znaleźli się w pobliżu Białegostoku i tam wobec trudnej sytuacji transportu ich dalej, zapadł na nich wyrok śmierci – wszystkich rozstrzelać i jak później opowiadał Piekarowicz, były przygotowane karabiny maszynowe do strzałów w nich, lecz znowu w tymże momencie pojawił się lotny konny oddział wojska polskiego i przeszkodził rozstrzelaniu. Padło ofiarą tylko kilka osób, Żydów tam na miejscu i w drodze. Padła tylko jedna salwa i zaraz bolszewicy uciekli, w taki sposób pozostali zostali uratowani i szczęśliwie powrócili. Po drodze kilka osób zostało zabitych, podejrzanych lub próbujących ucieczki, czy też wlokących się na końcu, jako osłabionych, niezdolnych do dalszego marszu.

Uciekający bolszewicy niektórzy rabowali, co tylko się dało, najbardziej zrabowali i zabrali prawie wszystkie konie, których gospodarze nie zdążyli ukryć, brali też i bydło – krowy na rzeź. Niektórzy gospodarze rolnicy, szczególnie we wsiach położonych przy szosach lub w pobliżu traktów drogowych, zostali zupełnie obrabowani z koni, wozów i innego inwentarza tak, że w niektórych wsiach było zaledwie po parę koni, więc były duże trudności ze sprzętem, czyli zwózką ocalałych, dojrzałych zbiorów. Widziałem, jak gospodarze wsi Niewisko urządzili zespół i naładowane zbożem nieduże fury sami bez koni zwozili z pola do stodół; jedni ciągnęli, a drudzy pchali z tyłu, bo w całej wiosce liczącej kilkunastu gospodarzy było

tylko dwa konie. Były wówczas tej pamiętnej jesieni duże trudności z uprawą i siewem oziminy zasiewów. Ówczesna inwazja, czyli najście na Polskę bolszewików, odbiła się bardzo ujemnie dla gospodarstw rolnych na szereg lat.

Ostatnia noc rajy bolszewickiego z soboty na niedzielę 22 sierpnia była szczególnie groźna. W żydowskich domach w Sokołach dały się słyszeć coraz krzyki Żydówek, z którymi rozprawiali się resztki uciekających bolszewików. I do nas około północy zakłatali silnie do drzwi, żądając otwarcia lub w razie przeciwnym, grożąc wyłamaniem drzwi. Musowo było otworzyć, weszło do mieszkania kilku 4–5 żołnierzy żądających jedzenia. Wy tłumaczyliśmy, że nic nie ma, najwyżej możemy ugotować kartofli. Widząc gromadkę śpiących dzieci i niewielkie bogactwo, a raczej ubóstwo w mieszkaniu i że nie jesteśmy właścicielami domu i gospodarstwa, a tylko lokatorami – nakazali gotować kartofle, dwóch czy trzech czekało w mieszkaniu, inni poszli do gospodarza Kowalewskiego za ścianą, domagać się lub szukać słoniny, mięsa, mleka. Zaszli i do szwagrostwa Lubiejewskich, naprzeciw, ci sami czy inni, tam żądali stanowczo – z przykładaniem do piersi lufy karabinów, potrzebnych im produktów, oczywiście, nie kartofli. Wyzywającym i groźnym zachowaniem się przestraszyli wszystkich domowników. Szwagier Hipolit Lubiejewski, znany majster robót kamieniarskich, tak się tym przejął, że rozchorował się. Choroba przechodziła, to wzmagala się, przeciągnęła się całą jesień i zimę i spowodowała śmierć, która nastąpiła 23 maja 1921 roku, w 51 roku jego życia. Pozostała żona i 5-ro dzieci.

Po ugotowaniu kartofli i zakraszeniu słoniną, którą przynieśli ze zdobyczy u sąsiadów, posilali się z niewielkim apetytem, widocznie nie byli głodni. Zjadłszy około połowy niedużego garnka tych kartofli, podziękowali i poszli, zaznaczając, że gdyby nie wykonać ich żądania – dać im jeść, postąpiliby inaczej, czyli rozprawili się z nami po swojemu.

Nazajutrz w niedzielę rano była ładna, ciepła pogoda, podobna jak trzy tygodnie temu, zupełna cisza. Ludzie ochłonęli z przerażenia, w bardzo wesołym, radosnym nastroju szli gromadnie do kościoła na nabożeństwo dziękczynne. Wszyscy ubrani odświętnie, bowiem w czasie ubiegłych trzech niedziel ubrani byli w najgorsze robocze ubrania jakby biedacy. Od rana oczekiwali na powitanie wojska polskiego i urządzili wspaniałą, na jaką było stać, bramę triumfalną z napisem na białej szarfie: „Cześć bohaterom”. Dopiero około południa, już po sumie w kościele pojawiło się wojsko polskie – konny oddział, witane radośnie głośnymi okrzykami: „Niech żyją, cześć bohaterom!” – przez tłumy zgromadzonych przy bramie znajdującej się na tejże ulicy w pobliżu naszego mieszkania.

Był duży entuzjizm i radosny nastrój wśród ogółu ludności. Zaczęło się normalne życie po odzyskaniu znowu prawdziwej wolności. Przywrócony został poprzedni stan pracy. Działacze bolszewicy – Żydzi uciekli wraz z bolszewikami, bądź też pochowali się; niektórzy zostali zatrzymani i odesłani do rozporządzenia władz powiatowych, między innymi i Sekretarz

gminy Czaczkowski, który w czasie krótkiego panowania bolszewików przejawiał aktywną na ich korzyść działalność. W czasie jego kilkudniowej, coś około tygodnia nieobecności, pełniłem trudne obowiązki Sekretarza gminy, na prośbę Wójta Grodzkiego Piotra z Kruszewa koło Sokół. Kiedy tenże Czaczkowski uniewinniony z zarzutów powrócił z dowodem, aby pełnił nadal swoje obowiązki Sekretarza gminy – ustąpiłem, lecz zaraz po kilku dniach zacząłem pracować w Magistracie.

Następnego dnia po ucieczce bolszewików, w poniedziałek trzeba było eskortować do Mazowiecka znaczny oddział, kilkadziesiąt osób jeńców wojennych wziętych do niewoli w Sokołach i okolicy, którzy nie zdążyli uciec, do tej eskorty byłem wyznaczony i ja, lecz wymówiłem się chorobą, bo naprawdę byłem chory na krwawą dezynterię i nasza Marysia ciężko wówczas zachorowała i w ciągu paru tygodni była niebezpiecznie chora na tyfus brzuszny. O pomoc lekarską było trudno, bowiem jedyny lekarz w Sokołach doktor Furś został zmobilizowany do leczenia żołnierzy, czyli na wojnę. Trudne były wówczas warunki życia przez pewien czas.

Po ucieczce bolszewików nieczynny w czasie ich pobytu Zarząd Miejski miasta Sokoły, czyli Magistrat zaczął na nowo funkcjonować. Na odbytym posiedzeniu Rady Miejskiej, prawnie poprzednio wybranej i ukonstytuowanej, na miejsce zwolnionego poprzednio starego burmistrza Oksztela wybrany został odpowiedni nowy burmistrz Antoni Węglewski, były długoletni sekretarz rejenta w Sokołach, a w Wysokim Mazowieckiem, mający spore gospodarstwo rolne i dom w Sokołach koło kościoła, obok nowego domu parafialnego, w którym mieszkał i przeniósł się do swego domu przy mieszkaniu, z domu poprzedniego burmistrza Oksztela Magistrat.

Ten właśnie Burmistrz Węglewski, nie mając odpowiedniego kandydata na Sekretarza, zatrudnił mnie, na co oczywiście zgodziłem się, by pracować chwilowo z myślą i zamiarem, by przejść do pracy w Sądzie w Sokołach, wobec trudności w przeniesieniu się gdziekolwiek indziej i mając sporą rodzinę i trochę gospodarstwa w Truskolasach. Gdyby nie ta praca w Magistracie w Sokołach, zamierowałem starać się o pracę w Białymstoku, gdzie wówczas nie było trudno o pracę biurową w sądownictwie lub innym resorcie: w skarbowości, urzędzie wojewódzkim lub innych.

Praca w Magistracie za tego Burmistrza była znacznie lżejsza, bo był on biegły we wszystkich sprawach i kompetentny. Nie było obawy, że wynikną jakieś przykre nieporozumienia. Sam bez Sekretarza jeździł do Mazowiecka do władz powiatowych na cotygodniowe konferencje i odprawy, tylko był leniwy i niedbały w ściąganiu podatków koniecznych na potrzeby magistrackie i na pensje dla pracownika; zawsze była kilkumiesięczna zaległość. Był on jednocześnie i obrońcą sądowym jako długoletni pracownik notarialny i co pewien czas pełniący zastępstwo notariusza, uzyskał prawa i tytuł obrońcy sądowego przy

Sądach Pokoju i był nim przy Sądzie Pokoju w Sokołach, lecz nie cieszył się zdrowiem. Za to cieszył się dobrą opinią. Pełnił obowiązki burmistrza i obrońcy sądowego do śmierci. Zmarł w maju 1923 roku, po dłuższym leczeniu w Warszawie; zwłoki sprowadzono i pochowano w Sokołach.

Po nim był burmistrzem kowal Grabowski, później mianowany przez władze powiatowe urzędnik, b. referent powiatowy Zarzecki, a ostatnio do wybuchu II wojny światowej Monikowski Witold – obrońca sądowy, właściciel ładnego domu i gospodarstwa. Obecnie po wojnie Sokoły jako miasto nie istnieją, z powodu małej ilości mieszkańców. Po zlikwidowaniu Żydów – ponad 2000, a chrześcijan około 1200, osada została przyłączona do gminy wiejskiej Sokoły i nowego powiatu Łapy.

Na stanowisku sekretarza Magistratu, czyli gminy miejskiej Sokoły, pozostawałem do 1 sierpnia 1922 roku, ponieważ od tego czasu postąpiłem na pracę do Sądu Pokoju w Sokołach na stanowisku podsekretarza. Utworzono nowy etat z powodu zniesienia Sądu Pokoju w Tykocinie i przyłączenia całego byłego dużego okręgu tego Sądu tj. miasta Tykocina, liczącego około 5 tysięcy mieszkańców i trzech dużych gmin: Stelmachowo, Piszczaty i Kowalewsczyzna do Sądu w Sokołach. Sąd w Sokołach powiększony przeszło dwukrotnie obejmujący dotychczas dwie gminy Sokoły i Poświętne oraz miasta Sokoły i Łapy, miał bardzo dużo wówczas najrozmaitszych spraw, przeszło 8000 rocznie, karnych około 6500 i cywilnych około 2000. To też było moc roboty. Prawie co dzień, oprócz świąt, były wyznaczone i sądzone sprawy i to dużo, po 30–40 i więcej dziennie.

Sędzia był uboczny, bez pensji, p. dziedzic z Rusi Jaruzelski Stefan, który mało udzielał się w pracy w Sądzie, przeważnie ławnicy sądzili sprawy, starszy w zastępstwie Sędziego w środku i dwóch po bokach oraz Sekretarz, który faktycznie sądził sprawy, ponieważ ławnicy byli zwykli gospodarze, czyli chłopci, wybrani przez ogół z trochę gładszych i bogatszych. Tym sekretarzem, czyli protokolantem do sądenia spraw, byłem ja, obowiązek pracy był bardzo ważny i skomplikowany. Badanie stron i świadków w każdej sprawie trzeba było dokładnie zapisać do protokołu, później po zapadnięciu na naradzie, jaki wydać wyrok, dokładną treść wyroku, czyli sentencję wyroku, trzeba było napisać i za tym po podpisaniu przez komplet sądzący, tj. ławników, a protokołu i przez Sekretarza – Sekretarz te wyroki ogłaszał – wyraźnie głośno czytał, a ławnicy i zainteresowani na sali sądowej słuchali. Sądenie spraw odbywało się od rana do późnego wieczora, a czasem kończyło się około północy. Taka była moja praca w tym Sądzie w Sokołach w ciągu prawie dwóch lat: od 1 sierpnia 1922 r. do 1 marca 1924 roku, bowiem od tego czasu zostałem na własną prośbę przeniesiony do Sądu Okręgowego w Łomży, a to ze względu na konieczność kształcenia dzieci, ponieważ najstarsza córka Marysia skończyła już 6 oddziałów szkoły w Sokołach i zdała egzamin w czerwcu 1923 r. do III klasy Gimnazjum Żeńskiego w Łomży i z początkiem tegoż 1923 roku już uczyła się w Gimnazjum

w Łomży w trudnych warunkach pod względem wyszukania dobrej stacji. Tymczasowo była na stacji u krewnych Gobieckich, mieszkających dosyć daleko od Szkoły Gimnazjum na ulicy Zdrojowej zw. Cierpioły.

Pozostając nadal w Sokołach nie byłoby możliwości kształcenia wszystkich pozostałych dzieci w gimnazjum, czyli dać odpowiednie wykształcenie średnie, a może i w miarę możliwości wyższe, więc przeniesienie się na stałe do Łomży było konieczne.

W lecie 1923 r. otrzymałem propozycję z Sądu Okręgowego o przeniesienie, czyli objęcie posady Sekretarza Sądu Pokoju w Porębie nad Bugiem, powiat Ostrów Maz., lecz zbadawszy sytuację, daleka odległość, trudności komunikacyjne, kłopoty i obowiązki rodzinne oraz majątkowe, wprost niemożliwe trudności przeprowadzki, zrezygnowałem z przyjęcia tego stanowiska, z zamiarem urzędzenia się lepiej przez przejście do Sądu Okręgowego i przeniesienie się na stałe miejsce zamieszkania do Łomży, co w niedługim czasie nastąpiło, bo ciągle, jak dotąd przeprowadzki i rujnacja związana z przeprowadzkami już się naprzykrzyły.

W tymże 1923 roku, w czasie zamieszkiwania i pracy w Sądzie w Sokołach w dniu 28 września, mieszkaliśmy w domu Kowalewskiego Juliana, starego kawalera, przy ulicy Mazowieckiej, naprzeciw domu teściowej i szwagra Drągowskich i Lubiejewskich, urodzili się synowie dwaj, bliźniaki, którym na chrzcie świętym dopełnionym przez księdza Stanisława Skrodzkiego, wikariusza parafii Sokoły, późniejszego proboszcza parafii Przytuły – obecnie nieżyjącego, w dwa tygodnie po ich urodzeniu dane były im imiona: pierwszemu, starszemu o pół godziny Marian – Michał, a drugiemu Wacław, patron dnia urodzin, dla pierwszego był patron następnego dnia, 29 września, św. Michał Archanioł. Rodzicami chrzestnymi byli: pierwszego, tj. Mariana – Bronisław i Maria Bogaczewicze, kierownik i nauczycielka Szkoły w Sokołach, a drugiego, tj. Wacława – Radosław Rakowicz – Sekretarz Sądu w Sokołach i pani Ołdakowska Zofia – właścicielka dużego sklepu kolonialno-spożywczego w Sokołach.

Jeden z tych małych bliźniaków nazywany od początku i zawsze później Marys – Marysiek, był słabego zdrowia, matka wątpiła, czy będzie się chował, jednak pomątu, dzięki troskliwej opiece i umiejętnym zabiegom matki poprawił się i po przeżyciu ciężkiej wówczas i bardzo śnieżnej zimy, za tym ciepłej wiosny i lata, latem już obaj chodzili na czterech lub czolgali się po ciepłej podłodze w dosyć obszernym mieszkaniu, składającym się z 3 pokoi i kuchni.

Przez cały czas zamieszkiwania i pracy w Sokołach od roku 1920 uprawialiśmy część gospodarstwa rolnego we wsi Truskolasach Starych, co niewiele opłacało się z powodu trudności uprawy i kosztu robocizny, dowozu nawozu, bo daleka odległość prawie 5 kilometrów, a najbardziej przeszkód i wyrządzonych szkód przez brata Franciszka, który był przeciwny temu i czynił przeszkody w celu zmuszenia do porzucenia lub sprzedaży mu za byle cenę, jaką wyznaczał.

W tymże czasie w październiku 1923 roku odbył się ślub i skromne wesele Święczkowskiego Stanisława kancelisty Sądu w Sokołach z Zofią Lubiejewską, trzecią córką siostry żony Kazimiery. Żyli ze sobą nie bardzo długo, coś około dwóch lat w Sokołach, a później przeniesiony został do Mazowiecka i zmarł na suchoty, pochowany w Sokołach, a ona prowadziła w Mazowiecku duży zakład krawiecki damski. Miała aż 12 uczennic i w jakiś rok po śmierci męża wyszła ponownie za mąż za Iżyckiego, kierownika sklepu czy przedsiębiorstwa rolniczego „Snop”, po którego zlikwidowaniu byli jakiś czas w Sokołach i przeprowadzili się do Warszawy. Mieszkali na ulicy Wroniej, było im b. dobrze, lecz ona zachorowała i po paru latach zamieszkiwania w Warszawie zmarła – dzieci jak z pierwszym, tak i z drugim mężem nie miała.